KARMIDOR
(Wielość rzeczywistości)

Ktoś ostatnio się mną zainteresował, poważnie skierował świdrujący mnie niewybaczalnie strumień swej świadomości w moim kierunku, o zgodę bynajmniej nie pytając! Jakiś obcy mi człek, wścibski i natrętny z natury! Głodny kontaktu ze mną, właśnie ze mną i tylko ze mną!
Czuję się obserwowany i śledzony, choć nie bardzo wiem, przez kogo. Z niebytu wyłonił się i w nieznanym mi bliżej punkcie czasoprzestrzeni proste naszych żywotów przecięły się, tworząc punkt wspólny.
Poczułem to od razu!
Natychmiast miałem co do tego pewność, choć twarzy jego nie widziałem.
Skąd zdobył mój numer telefonu również zapewne pozostanie dla mnie wieczną zagadką.

Odkąd odciąłem się od tzw. świata i zerwałem z nim wszelkie kontakty na wszystkich podstawowych płaszczyznach minęło już kilka miesięcy, lecz nie odbyło się to bez niemiłych dla mnie niespodzianek. Mam tu na myśli jego osobę. Wtedy właśnie nadszedł i dał mi poczuć, że istnieje. Jego pojawienie się zbiegło się dziwnie w czasie z mym ostatecznym adieu dla pospolitości bytu, który drażnił mnie już od lat głosem bezczelnego spikera radiowego czy przepełnionych mentalną gangreną artykułów prasowych, dla zmaterializowanych ludzi-robotów i ich małych istnień, ograniczonych do prymitywnej konsumpcji i wegetowania na smyczy mamony, dla egzystencjalnej papki, którą były poniekąd moje własne poglądy i sposób myślenia, w końcu dla zmechanizowanego, bezdusznego otoczenia-rzeczywistości, z którą nie zamierzałem mieć już nic wspólnego.
Aczkolwiek wypowiadając słowo „rzeczywistość” powinienem zachować pewną, daleko idącą ostrożność – stała się ona bowiem od tej pory, jako zjawisko i problem naczelny, głównym i jedynym tematem mych rozmyślań i dogłębnej, wnikliwej analizy.
Dlatego rzuciłem pracę na uczelni, na której wykładałem od lat filozofię i postanowiłem odnaleźć istotę tego, czym jesteśmy, co widzimy i odczuwamy, i co odbywa się wówczas w nas samych w zależności od „tła”, jakie nam towarzyszy, lub odwrotnie, kiedy my stajemy się owym „tłem” dla wydarzeń, które dzieją się na pierwszym planie.
Postanowiłem poszukiwać prawdy za wszelką cenę, niczym Eremita z kart Tarota, odcinający się od świata celem odnalezienia światła prawdziwej mądrości, odziany w brązowy habit – kolor wyrzeczenia i pokuty, a także kolor ziemi, co sugeruje nadzieję na nowy początek i nowe życie. Tak jak on, i ja chciałem trzymać w ręce latarnię – symbol Słowa, światła prawdy, przyświecającej tym, którzy kroczą drogą sprawiedliwego.
Latarnia ma kształt klepsydry, przypominającej o przemijalności czasu i o słynnym memento mori, o którym zawsze pamiętałem, odkąd przestałem, dawno temu, być człowiekiem młodym, tym samym beztrosko patrzącym w przyszłość.
Wokół latarni krążą ćmy – symbol mistycznej, ofiarnej miłości duszy do boskiego Światła.
Pragnąłem być choćby nimi, by zgłębić istotę tego, co miało odtąd być sensem mego człowieczego

istnienia, aby rozjaśnić to, co dotąd uważałem za zakryte czarną płachtą niewiedzy…
Powszechnie wiadomo, że w drugiej ręce Eremita trzyma kostur, symbol oparcia w surowych regułach życia, jakie prowadzi, siły woli, a także symbol walki z nieczystością i grzechem.
I ja podjąłem postanowienie, że moje odejście od świata będzie radykalne i bezwzględne – stąd zarówno radio, jak i telewizor wyrzuciłem z hukiem przez okno pewnej, ciemnej nocy i szybko wziąłem solidną, gorącą kąpiel, by poczuć się w końcu czystym i wolnym od światowego plugastwa.
Las, w którym mieszka Eremita, oznacza medytację i skupienie, którym sprzyja absolutne odosobnienie. Tylko tak można odnaleźć Światło i wewnętrzną harmonię, ponadto odpowiedź na dręczące duszę pytania, której próżno by szukać w dzikim, miejskim zgiełku…
Dlatego też istniałem już teraz tylko we własnym, hermetycznym świecie, do którego nikt nie miał dostępu i mieć nigdy nie powinien. Ostatecznie życie płata figle i nie wiadomo do końca, czy są to tylko figle, a może coś poważniejszego?

Jak już wcześniej wspomniałem, nie potrafiłem nijak wytłumaczyć faktu, skąd ów śledzący i obserwujący mnie podejrzany osobnik zdobył bez trudu mój numer telefonu.
To mnie w tym wszystkim najbardziej niepokoiło swą jawną niedorzecznością, gdyż w obecnej chwili nie mógł go zdobyć od żadnego z mych znajomych, gdyż doczesne szczątki ich wszystkich od lat czule pieściła na pobliskim cmentarzu Matka Ziemia, a dusze, pokonawszy po drodze przeróżne, pośrednie poziomy bytu, w innym zgoła wymiarze zamieszkiwały, nie kontaktując się już ze mną od dnia pożegnania tego padołu łez i smutku.
Rodziny nie posiadałem. Wszyscy pomarli przede mną. Jedni w łóżku, inni na wojnach.
Nie było więc nikogo, od kogo mógłby w podstępny sposób dnia pewnego ów numer otrzymać. Nawet nie wiedział, bo niby skąd miałby to wiedzieć, że od dawna nie płaciłem rachunków za telefon, gdyż taką miałem akurat ochotę, więc mi go pewnego dnia odcięto, bez specjalnego zresztą żalu z mojej strony. Zwykły, zbędny klamot…
Ostatecznie bezduszny kawałek plastiku pozostawiłem ze względów „sentymentalnych” na stole – a niech mi czasem przypomni czasy, kiedy byłem jeszcze bezwolną ofiarą świata, kukłą bez duszy, niech mi będzie przestrogą, by starych błędów nie popełniać…

Tamten wyczytał me myśli z oddali i w mig pojąłem, że mam w nim wroga.

Musiało zatem istnieć coś na kształt tajemniczego związku, jaki po drodze między nami się wytworzył, choć mój udział w jego powstawaniu był żaden, gdyż w ciągu jednej sekundy, metodą faktów dokonanych, stał się rzeczywistością i został mi niejako „ukazany”, najzwyczajniej narzucony siłą, bezwzględnie i podstępnie…
Ów osobnik krążył wokół mnie jak satelita dookoła wielkiej planety i nawet nie raczył pokazać mi swej twarzy i wyjawić powodów, dla których tak kurczowo się mnie uczepił.
Był mi tajemnicą. Jak upiór krwawy. I spokój zatruwał, zapewne wiedząc i doskonale wyczuwając, jak bardzo mi na nim zależy. Coś dręczyło mnie myśli natrętną, że jak rzadko kto wyczuwa mnie bezbłędnie na odległość, pomimo murów i innych fizycznych barier, których istnienie jawiło się tu jeno jako przeźroczysta nicość, nie przeszkadzająca mu bynajmniej w ciągłej obserwacji mojej osoby, tudzież swoistej „psychicznej kontroli”, którą czułem na mej jaźni, jak dotyk ciężkiej, lepkiej, spoconej łapy jakiegoś namolnego osiłka, który chce mnie pchnąć w wybranym przez siebie kierunku, nie pytając o zgodę…
Moje kontemplacje wymagały wyciszenia zmysłów. On zdawał się przejawiać przedziwną chęć, osobliwy zamiar, przeszkodzenia mi w tym i pokrzyżowania mych planów.
Złośliwiec przebrzydły!

W końcu przeszedł od myśli do czynów.

Miało to miejsce dość szybko po tym, jak się zorientowałem, że mam go na karku.
Jak tego dokonał, diabła samego pytać!
Mnie aż ciarki po grzbiecie przelatują na wspomnienie tego dnia…
Jednak tak było, taka była cała, niesamowita prawda.
On najzwyczajniej do mnie…zadzwonił!
Kompletnie ignorując doniosły fakt, iż mój telefon jest od miesięcy wyłączony!
Pewnie jakoś to sobie załatwił „na górze", że go specjalnie na tę okazję ponownie podłączono!
Podejrzany typ, niebezpieczny, posiadający koneksje…
Nie życzyłem sobie mieć z nim żadnych kontaktów – jego jednak, jak widać, nie interesowało wcale moje zdanie, i kierując się mętnymi intencjami, tudzież zwierzęcym tupetem, wykonał pierwszy ruch…
Przeraziło mnie coś jeszcze: był doskonale zorientowany we wszystkim, co robiłem na płaszczyźnie umysłowej, znał owoce mych wielomiesięcznych medytacji i głębokich rozmyślań, znał także me rozterki duchowe i egzystencjalne, jakby był mną samym i żadna ma, najmniejsza bodaj myśl nie była mu obca, posiadał także absolutną wiedzę odnośnie mych przyszłych zamiarów, a mianowicie napisania pracy naukowej, czegoś w rodzaju poważnego traktatu, opisującego zjawisko wielości rzeczywistości, nad którym pracowałem od dawna, dochodząc do wyjątkowo ciekawych wniosków.
Jednak największy szok przeżyłem, gdy odezwał się do mnie po imieniu – nie tym, które mi nadali moi szanowni rodzice – ale tym, które sam sobie nadałem w trakcie owych owocnych miesięcy mej umysłowej pracy…
Wymagała tego chwila, wymagała tego ma przemiana.
- Witaj, Karmidorze… - rzekł prawie szeptem.
- Z kim mam przyjemność? – spytałem mocno zaskoczony.
- Dla potrzeb naszej, że się tak wyrażę, „znajomości", nazywaj mnie dziś w trakcie naszej rozmowy telefonicznej Głosem, a gdy dane nam będzie spotkać się oko w oko, wówczas będę Rodimrakiem…
Usłyszałem w słuchawce jego rytmiczny, nieco sapiący oddech.
Zrazu zamilkł, nie dając wciągnąć się w pogawędkę, choć sam jej jak widać pragnął, i dyszał tylko ciężko, jakby chciał z tego dyszenia stworzyć jakieś zdania i tak do mnie przemówić.
- Karmidorze – zapytał w końcu. – skąd to imię? Niespotykane, rzekłbym. Czemu nie nazywasz się obecnie Karpidor, Karmitor, Kasimor czy choćby Karmid lub Dor?
Dziwak jakiś czy co?
Głupie pytanie, bez dwóch zdań!
Jak można o coś takiego pytać kogoś, kto przeszedł tak daleką drogę jak ja?
- Wyższa konieczność lub jak wolisz, nagroda za ciężki trud. Od biedy tłumacz to sobie wyrokami metafizycznych przeznaczeń, które obdarzyły mnie tym zacnym imieniem. Nieprzenikniony Los tak chciał – odparłem z dumą.
- All right.
- Muszę wiedzieć, skąd zdobyłeś mój numer telefonu – wszak nikt go poza mną obecnie nie zna.
- Jak widzisz prawda jest nieco inna. Teraz jest nas dwóch. Nie było to trudne – wręcz przeciwnie – banalnie proste. Pewnie zabrzmi to dziwacznie i wprost nieprawdopodobnie, ale czytam w twych myślach, jak w otwartej księdze. Nie mam z tym najmniejszego problemu. Odległość nie gra tu roli. Ani to, że się jak dotąd osobiście nie poznaliśmy.
- Jesteś urojeniem…Ciebie nie ma.
- Wyłoniłem się z nicości, gdzie spokojnie sobie czekałem na chwilę, kiedy mnie do siebie zaprosisz…
- Ja?
- Tak, ty.

- W jaki niby sposób?
- Swoimi niedorzecznymi teoriami. To one zmusiły mnie do zajęcia jednoznacznego stanowiska. Ich fikcyjność i metafizyczna miałkość nie przemawia do mnie wcale. Stąd ma obecność…
- Kim jesteś?
- Jestem Niezależnym Krytykiem Złych Idei. Nie podlegam nikomu. Działam na własną rękę. Ma bezkompromisowość znana jest we wszechświecie. Lekceważę Byt jako siłę i jako moc – ani ona nade mną, ani pod nią ja!
- Butnyś niebywale…
- Szczery jeno, bo w szczerości siła tkwi i świeci jak latarnia morska. Nic ponadto.
Tu zniesmaczony chrząknąłem znacząco do słuchawki – niech wie, że nie lubię snobów oraz tego ich tonu, pełnego niczym nieuzasadnionego samozadowolenia.
- I postanowiłeś wziąć na ząb to, nad czym pracuję ciężko od miesięcy, tak?
- Właśnie.
- A skąd tak dobrze znasz podwaliny mej teorii Wielości rzeczywistości i licznych jej aspektów, jeśli można wiedzieć? Nikt poza mną na całym świecie nie wie o istnieniu tego, w co zaangażowałem się kilku miesięcy temu. Nikt nie ma zielonego pojęcia, czym się ostatnio zajmowałem. To ewidentne. Nie mam co do tego wątpliwości, bo wśród tych czterech ścian dojrzewał owoc mego umysłu. Żadne oko mnie nie podejrzało. Cała ma wiedza spisana jest odręcznie w głębokiej tajemnicy na dziesiątkach stronic papieru kredowego, gdyż tak sobie zażyczyłem i wszystko to mam pod mym łóżkiem, w wielkiej, brązowej walizie, gdzie przechowuję owoce mej pracy. To wszystko, do czego doszedłem sam, o własnych siłach, bez niczyjej pomocy. Nagle znasz to na wylot? Ta kwestia nie daje mi spokoju…
- Przecież już ci mówiłem – czytam w tobie jak w otwartej księdze. Czy ta odpowiedź cię nie zadawala?
- Jesteś jakimś Magiem Chaosu?
- Ależ coś ty! Chaos jako bezładny ruch w ruchu nie wydaje mi się ciekawy ze względu na swą idiotyczną naturę. Dlatego nie tu kieruję me zainteresowanie. Lubię konkret, choćby był, jak twój, wyimaginowany i urojony. W chaosie go nie znajdziesz…
Kiedy to mówił, w głosie jego wyczułem wyraźną nutę ironii – w duchu śmiał się pewnie z mych niecodziennych odkryć i marzył o sprowokowaniu mnie do ostrzejszej polemiki.
Gdyby nie był aż tak wrogo nastawiony do mnie i mych badań, wnet w przypływie świadomego myślenia pojąłby lotem błyskawicy, że nie minie pięć, no może dziesięć lat, kiedy ludzkość doceni mój trud i poświęcenie, wynosząc mą osobę do panteonu wielkich uczonych tego świata, a moją teorię wykładać będą na każdym uniwersytecie, jako przełomową i zamykającą pewien etap „błądzenia po omacku”, kiedy to z marnym skutkiem badano zjawisko tzw. rzeczywistości.
Ja jako pierwszy „przełamałem lody” niewiedzy i niekompetentnej amatorszczyzny w tej niebagatelnej kwestii – nie jest tajemnicą, że nie raz zabierano się za ten temat, lecz efekty były żadne…
- Prawda, że pięknie napisane? Sprecyzowałem to zjawisko najdokładniej jak mogłem – rzekłem z niekrytą dumą.
- Zjawisko? Nie żartuj! Czym jest rzeczywistość, każdy widzi! Po co mydlisz mi oczy jakimiś urojonymi teoriami, skoro jest to tak bezmyślne i niedorzeczne, jak tworzenie pseudonaukowych podwalin pod proces, powiedzmy, wbijania gwoździa w ścianę lub obcinania paznokci. Czy nie razi cię bełkotliwość i miałkość tego, czym się niesłusznie chlubisz?
- Twoje słowa obrażają mnie! – zawołałem do słuchawki.
- Ha, ha, ha! – zaśmiał się ochryple w odpowiedzi na me zdrowe oburzenie. - Ależ z ciebie nadwrażliwiec! Trochę dystansu do siebie i do świata! Jesteś za poważny, a jak pewnie wiesz, od powagi do śmieszności blisko, oj blisko. Nie ma wielu rzeczywistości, jest tylko jedna, którą widzisz na oczy, mój drogi. Nie ma innych wymiarów – to bujda wierutna! Ach ten porąbany, przereklamowany kosmos! Nie mają tam nawet marynowanych boczniaków i nikt nie sprzedaje tam zdrowej, wietnamskiej

żywności. To hańba, to skandal! A ty przynudzasz bezkrytycznie o wielości światów, wielości płaszczyzn bytu! Liczy się tylko to, co można dotknąć i empirycznie określić. Poznać za pomocą zmysłów. Wyliczyć wzorem matematycznym i przyporządkować prawom logiki. Czysta fizyka! Nie ma żadnej innej wiedzy niż ta, którą człowiek może osiągnąć poprzez własny umysł, odrzucający takie jej źródła, jak: objawienie, doświadczenie mistyczne czy jakże często wprowadzająca w błąd tzw. intuicja, którą postrzegam jako myślenie paranoidalne, czyli część składowa rzeczywistości wrażeń reproduktywnych zwanej rzeczywistością wizjonerów. To, co racjonalne, jest prawdziwe, reszta to bzdurne rojenia, takie jak twoje, śmieszne i karykaturalne – ni przypiął, ni wypiął. Jedyna rzeczywistość to rzeczywistość praktyczna, pełna konkretu i namacalna w całym swym bogactwie, zapamiętaj to na zawsze. Jestem wrogiem ekscentryków wszelkiego rodzaju. Mówię ci to jako Niezależny Krytyk Złych Idei. Twoich groteskowych bajeczek nikt nie kupi. Nie trzymają się kupy. Widać od razu, że wymysł szaleńca…
Nie wytrzymałem.
Dotknął mnie do żywego!
Odrzuciłem na bok słuchawkę i skoczyłem pędem do kuchni, drżąc na całym ciele ze wściekłości, która wstąpiła we mnie jak dziki duch pierwotnej sprawiedliwości, i gdy po chwili wróciłem z wielkim nożem kuchennym, jednym, śmiałym pociągnięciem obciąłem kabel od telefonu po obu stronach aparatu.
- Mów do mnie jeszcze! – krzyknąłem do słuchawki, oddzielonej od reszty, lecz jakie było me zdziwienie i przerażenie, kiedy jak gdyby nigdy nic usłyszałem w niej ponownie jego spokojny, nasycony złośliwością głos:
- A nie mówiłem, że z twoim nerwami nietęgo… Zbyt łatwo dajesz się wyprowadzić z równowagi. Taki wielki uczony, a zachowuje się jak dziecko. I jak tu zaufać twoim teoriom, Karmidorze?
- Mam gdzieś twoją opinię! – ryknąłem ciskając z całej siły przeklętą słuchawką o ścianę.
Niestety na nic się to zdało…
Po chwili on znów ciągnął swe zjadliwe wywody, gdzieś spod stołu, bowiem tam ów znienawidzony przeze mnie w jednej chwili kawałek plastiku sromotnie wylądował.
- Czy nie przedstawiłem ci się jako Głos? Masz tego dowód! Miotanie przedmiotami domowego użytku ma się do uciszenia mnie tak, jak grabienie drewnianymi grabiami sufitu w nadziei, że pewnego dnia wyrośnie tam piękna, rozłożysta palma, do spełnienia tego ekscentrycznego pragnienia. Przejdę do sedna: kłamiesz jak najęty, a twoje mrzonki nie znajdą posłuchu wśród ludu łaknącego rzetelnej, prawdziwej wiedzy.
- Co ty możesz o tym wiedzieć? Coś ty za jeden, żeby mnie tak napastliwie podgryzać? Bratasz się ze mną jak świnia z pastuchem, a nawet twarzy nie pokazałeś jak dotąd. Odważny, bo anonimowy!
Wtem spod stołu rozległ się ochrypły, charkotliwy rechot.
To on kpił sobie ze mnie dalej w najlepsze.
Zakasłał i rzekł:
- Karmidorze, gdybyś tylko wiedział…
- Co? – spytałem oczekując kolejnej prowokacyjnej wypowiedzi.
- …gdybyś tylko wiedział, com gotów uczynić, jeśli dnia pewnego napiszesz w końcu coś godnego uwagi…
- A niech cię szlag!
- Własną skórę poświęcę na oprawę tej księgi, bylebyś był tylko łaskaw kośćmi swych palców wiekopomne rozdziały naskrobać. Swe włosy w rzemienie do tej księgi przekształcę, by się nigdy nie rozpadła w rękach umysłów ciemnych i niskopiennych. Z naskórka strony ulepię, a paznokciami ozdobię początki rozdziałów. Łzami mięso twego dzieła zakonserwuję dla szczurów mieszkających w moszczonych okuciach tegoż tomiszcza, gdy już powstanie.
Krew sobie nawet od żyrafy przetoczę, gdy zabraknie mi własnej, by świętą słowem recenzję ci dać. Przegonię krasnoludy, które przyjdą pewnie wysysać z twego wnętrza talentu strumienie, by później mieć

czym popijać strawę z Wielkiego Grzyba…i przesunąć pająka o jedną nitkę dalej, by mieć podgląd wydarzeń tu i ówdzie, w krainach przeróżnych. Pierścień Nibelungów też jest prawdziwy tylko nikt tego nawet nie zakłada... Strzeż się Globalnego Kowalstwa! I cyklistów!
- Precz mi stąd! – zawołałem. – Precz mi stąd, ale już!
- I nawet piosenkę ci zaśpiewam. Posłuchaj:

Jakże miło spotkać
Zaprawioną w bojach
Pożądaną w konwojach
Nadobną Elficę
Co pod spodniami
Nawet w dzień szturmu
Na morzu Iluzji
Nosi spódnicę
A w ręku nóż…
I celu swego w noc czarną
Szuka bacznie już!
Tralala-tralala-la!

- Cicho siedź, ciebie nie ma! Ty nie istniejesz!
- Jestem, jestem, jestem! – trajkotał, jak maszyna, która się zacięła.
Tego było stanowczo za wiele.
Skoczyłem naprędce w stronę stołu, wszedłem podeń w mgnieniu oka i złapałem słuchawkę pewnie w dłoń.
Teraz mi się już nie wymknie – teraz się go definitywnie pozbędę!
- To jakaś szczwana bestia, ale na głupiego nie trafiła! – i rzekłszy te słowa przepojone przyszłym triumfem, którego intensywny zapach krążył już wokoło, otworzyłem szafę i wyciągnąłem z niej worek z cementem, którego spora ilość pozostała mi po tym, jak przed kilkoma miesiącami zamurowałem jedno z mych okien – te, która najbardziej drażniło mnie miejskim, prostackim gwarem i odgłosami zmechanizowanego, skretyniałego świata.
- No to teraz patrz, gaduło!
- Jestem, jestem, jestem!
- Już niekoniecznie! Zaraz ci pokażę, jak od środka wygląda nabój!
Do plastikowego wiaderka wrzuciłem paskudną słuchawkę i w międzyczasie rozrobiwszy cement z wodą, zalałem ją na amen.
Początkowo coś zabulgotało, lecz nie trwało to długo.
Odetchnąłem.
Od tej pory nie będzie mi szczekać – żarty się skończyły!
Wyrwałem z podłogi cztery deski i wrzuciłem tam całe to ohydztwo, oczywiście nie w dosłownym tego słowa znaczeniu, gdyż wówczas wylałoby się i efekt byłby żaden.
Ponieważ w przestrzeni między podłogą a sufitem była przerwa głęboka na około metr, wysypana trocinami i jakimś wiórem pochodzącym zapewne z kory nieznanych mi bliżej drzew, właśnie tam, w pionie, ustawiłem ostrożnie zalane po brzegi cementem wiadro i pożegnałem na wieki wieków.
A niech je piekło pochłonie i robactwo, co pod podłogą żyje i konsumuje, co popadnie.
- Enjoy your meal!
Deski po chwili przybiłem jak należy i położyłem dywan, aby wszystko było po staremu, jak gdyby przed chwilą nie było tego nieprzewidzianego, dziwacznego incydentu, który chciałem szybko wyprzeć z mej

pamięci.
Wszystko naprawiałem tak umiejętnie i starannie, iż żadne ludzkie oko nie mogłoby dostrzec żadnej „poszlaki". Obeszło się bez większych posunięć. Pozornie nic się przecież nie stało…
Założywszy me ukochane, różowe kapcie, przeszedłem się po nim dostojnie, jakbym szedł ku wieczności – wielki, zasłużony, jedyny w swym rodzaju i co najważniejsze, genialny.
Na koniec uśmiechnąłem się radośnie, że ma praca, która po drodze tak raźne poczyniła postępy, zakończyła się zasłużonym sukcesem.
Wprawdzie jeszcze przez kilka minut miałem wrażenie, że słyszę jakieś stłumione szmery, ale już mnie to nie drażniło – sprawę uznałem za zakończoną. Co martwe, to martwe!
Jakiś czas było spokojnie.
Odetchnąłem z ulgą i nawet próbowałem trochę medytować, gdyż pozwalało mi to zazwyczaj łączyć się we wspólnej, radosnej harmonii ze wszechświatem, co obecnie byłoby mile widziane i mogłoby nieco mnie wyciszyć.

Nie trwało to jednak długo.
Czekała mnie kolejna niespodzianka…
Z zadumy wyrwało mnie dziwne coś…

Poruszyłem się niespokojnie, jako że nagle wyczułem jakąś osobliwą zmianę w przestrzeni.
Wtedy, w sposób dla mnie samego niezrozumiały i niepojęty, wyczułem płynącą do mnie spod podłogi udźwięcznioną myśl o znamiennej treści: „To jeszcze nie koniec. To zaledwie początek. Mały wstęp, coś na kształt rozgrzewki. Czekaj na mnie, bo na pewno się wkrótce spotkamy…"
Przyłożyłem wstrząśnięty przedziwnym zjawiskiem ucho do dopiero co przybitych desek i przez chwilę uważnie nasłuchiwałem.
Cisza…
Spokój…
Drewno.
Szum w uszach.
Szum w myślach.
Drewno.
- Kie licho?

Jednak od tej pory coś miało zmienić się na zawsze.
Nieodwracalnie zaburzony został pewien stan rzeczy.

Już nie dane mi było zaznać spokoju we własnym domu, zwłaszcza w pokoju, gdzie uwięziłem głos mego wroga w cementowej zalewie…
Pomny tego, co się wydarzyło, zacząłem stopniowo, z dnia na dzień, unikać owego pokoju, jakbym odczuwał złe prądy idące ku mnie stamtąd, świadom jednocześnie zmiany, jaka po drodze miała miejsce, odkształcając niejako jego „zdrową" dotąd naturę.
Stopniowo zaczynałem traktować go jak „wrogi teren", napawający mnie odrazą i pogardą, z którą nie potrafiłem już walczyć i której nie szło przezwyciężyć, gdyż stanowiła mój osobisty stosunek do całej „sprawy".
Aż doszło któregoś razu do tego, że sama myśl o odwiedzeniu przestrzeni, gdzie odbyłem burzliwą rozmowę z Głosem wzbudziła we mnie potężną, wewnętrzną opozycję, przedstawiając mi się jako narzucony z zewnątrz obcą wolą nakaz, któremu nie zamierzałem się podporządkować.
Co więcej, niemiły mi dyktat zdawał się wkraczać w zakres mych myśli, rozrastając się w mym umyśle

niczym jakaś pasożytnicza narośl.
Stawał się coraz bardziej natrętny i nieznośny, jak zjadliwe słowa bezpodstawnej krytyki, które słyszałem wcześniej w słuchawce mego telefonu.
Im bardziej starałem się go lekceważyć i ignorować, tym silnej atakował mą jaźń, starając się wedrzeć doń jak włamywacz i spenetrować wszelkie jej zakamarki w poszukiwaniu słabego ogniwa…

Bywało, że całymi godzinami pasowałem się zawzięcie z niechcianymi, psychicznymi nalotami, przeżywając chwile duchowych męczarni, dokonując olbrzymiego wysiłku, by nie ulec i nie poddać się. Z wewnętrznym wstrętem spoglądałem na te podszepty i coraz bardziej mierził mnie ich wypaczony charakter. Nie traciłem jednak wiary w siebie i w siłę swej woli.
Tak to borykałem się z obcą myślą – natrętem.
Każdego dnia, rano, w południe i wieczorem.
Nocą dręczyła mnie uporczywa bezsenność – spałem mało, zasypiając z trudem gdzieś między trzecią a czwartą, snem płytkim, byle jakim, pełnym nagłych przebudzeń i majaków.
Ma napięta do granic możliwości uwaga i pilnowanie się na każdym kroku męczyło mnie straszliwie, gdyż od tamtej rozmowy musiałem bez przerwy czuwać, by na czas wyłączać poza obręb mych konstrukcji myślowych ów bezlitosny, uporczywy nakaz zajrzenia do pokoju…
Lecz w miarę, jak ponawiałem me próby walki ze złym żywiołem, dochodziłem do coraz bardziej pocieszających wyników. Udało mi się wydłużyć czas, kiedy pozostawałem w rozłączeniu z obcą wolą, coraz wyraźniej zaczynałem czuć swą dawną odrębność i niezależność, i wnet w mym umyśle radośnie zajaśniało – w końcu pozbędę się pasożytniczych napływów!
Wspomnienie osiągniętego na jakiś czas wyzwolenia zachęcało mnie do twardej postawy.
Względny spokój trwał raz krócej, raz dłużej – były to bezcenne minuty mej wolności, kiedy to wobec wrogich podszeptów trzymałem swą osobowość na wodzy, czując w sobie zapowiedź lepszych chwili, które moim zdaniem były już blisko.
Na moment poczułem się bezpieczny.
Jak właściciel własnej duszy, jak ktoś, kto szczęśliwie dotarł do spokojnej przystani rozklekotanym kutrem.
Wstyd mówić, jak krótko to trwało!
Zaczęło się od bliżej niesprecyzowanych szmerów…
Dzień był szary i ponury, wstrętny wręcz…

Gdy tak sobie w spokoju ducha rozmyślałem nad zasadniczym rozwinięciem mej teorii wielości rzeczywistości, którą chciałem poważnie rozszerzyć o istotne aspekty kosmiczne i transcendentalne i bezwiednie rozglądałem się po pokoju, w którym oddawałem się nadal zapamiętałym studiom, jakbym poszukiwał w nim odpowiedzi na dręczące mnie pytania, nagle zdało mi się, że w tamtym pomieszczeniu coś się dzieje.

Z zaciekawieniem, podbarwionym nieznaczną dozą niepokoju, zacząłem nasłuchiwać.
Zrazu przyszło mi do głowy, że to wiatr dmucha w okna, szeleszczą drzewa lub jakaś samotna mysz buszuje bezkarnie. Lub może najzwyczajniej w świecie przesłyszałem się.
Odgłosy powtórzyły się – zagadkowe ni to szmery, ni to chrzęsty.
Wielokrotnie zastygałem w drżącym oczekiwaniu, by uchwycić istotę owych pomruków.
Ilekroć zbliżałem się do „odmienionego" pokoju, przedziwne pogwary milkły i nastawała głucha cisza. Nie łapałem sprawcy na gorącym uczynku. Dziwy jakieś, czy co? Może sam Mefisto szaleje po mych kątach? Albo objawiła się sprężona myśl nieprzeniknionego Maga Kosmosu?
Wnet jednak uczułem, że blednę i mą głowę zdaje się rozsadzać potężny ból. Mój organizm odebrał

jednak zły przekaz i wnet zastrajkował. Przykre nad wyraz dzwonienie w uszach rozsadzało mą czaszkę pulsującym kłuciem w skroniach. Nie czułem się dobrze.
Żmudne dzieło odzyskiwania utraconego spokoju spełzło zatem na niczym…
W pewnej chwili podszedłem do najbliższej ściany i zacząłem mocno wytężać ucho – chciałem mieć pewność, że to nie złudzenia i że odgłosy, które do mnie właśnie dotarły można jakoś wytłumaczyć i dłużej nie analizować ich pochodzenia, z góry traktując jako naturalne w dobrym tego słowa znaczeniu, czyli rozumiane jako absolutnie niegroźne.
Nasłuchiwałem…
Do pokoju oczywiście nie wszedłem.
Nawet o tym nie pomyślałem, pomimo tego, iż coś tam usłyszałem.
W ciemnościach czaiła się teraz tylko cisza i bezruch.
Nie zarejestrowałem nic podejrzanego, nic tym razem nie zakłóciło harmonii czasu i miejsca.
W chwilach napięcia o decyzję nie trudno – zmusza nas do niej potrzeba tejże chwili.
Życie to przecież podróż, nie cel.

I kiedy tak stałem wsłuchując się w bezgłośne wibracje powietrza, usłyszałem wyraźne chrząknięcie. Tak, bez wątpienia, chrząknięcie i to całkiem niedaleko miejsca, w którym stałem. Potem drugie, trzecie i kolejne. Nie zdawało mi się. Tego byłem absolutnie pewien!
Tam, w ciemnym, nieoświetlonym, znienawidzonym przeze mnie pokoju ktoś był!
Na palcach, ostrożnie i bezszelestnie, by nie spłoszyć intruza, wycofałem się do kuchni po latarkę. Trzymałem ją w szafce nad zlewem. Powinna tam być. Zawsze dbałem o to, by miała dobre baterie na wypadek jakiejś, nieokreślonej, wyższej konieczności. Teraz ta chwila nadeszła – wolałem oświetlić „całą sytuację" jej światłem, niż zapalić żyrandol i oślepiony ostrą jasnością jego żarówek zobaczyć być może za dużo…
Nie chciałem przekraczać tej cienkiej linii.
Jednak wiedziałem, że za chwilę się o nią lekko otrę.
Taką miałem nadzieję – że obejdzie się bez uszczerbku na moim spokoju i harmonii mego wnętrza.
Na wszelki wypadek zabrałem również mały scyzoryk – a nuż się przyda?
Zebrawszy w sobie całe swe zdecydowanie, zapaliłem latarkę i skierowałem ją na mroczny pokój.
Wystarczył ułamek sekundy, by go dostrzec.
Stał odwrócony do mnie plecami, w czarnej pelerynie z kapturem, który całkowicie zasłaniał jego głowę.
Był bardzo wysoki i nie poruszył się nawet, kiedy go nagle oświetliłem.
Tylko chrząknął.
Tak samo, jak poprzednio, jakby od niechcenia, jak chrząka się, kiedy chce się pokazać, że ma się pewną przewagę i niczym niezmącone opanowanie, a więc w sytuacjach, w których wymagane jest zasianie niepokoju w duszy rozmówcy, odebranie mu pewności siebie…
Pod wpływem jakiegoś niezrozumiałego dla mnie impulsu zgasiłem raptownie latarkę, za moment zapaliłem ją znów, potem raz jeszcze zgasiłem i ponownie zapaliłem.
On nawet nie drgnął – stał tam, gdzie wcześniej, ukryty w ponurej, dotykającej ziemi pelerynie…
- Kim jesteś? – spytałem oszołomiony.
- Zgadnij.
- Śmiercią?
- Nie.
- Mefisto?
- Nie.
- Duchem poległego w dzikiej bitwie rycerza?
- Też nie.

- A więc kim? – powoli począł ogarniać mnie nieokreślony lęk.
- Słabo u ciebie z pamięcią, Karmidorze, oj słabo. Już zapomniałeś, co żeś wyczuł dnia pewnego? Gdzieś w powietrzu, które choć niewidzialne, czasem coś w sobie kryje? Niby myśl, niby przekaz, płynący do ciebie z eteru: „To jeszcze nie koniec. To zaledwie początek. Mały wstęp, coś na kształt rozgrzewki. Czekaj na mnie, bo na pewno się wkrótce spotkamy…"
- Więc to znowu ty…
- Tak, lecz tym razem jestem Rodimrak i mam ci wiele do powiedzenia.
- Skąd wiesz, że cię wysłucham? Może pałam do ciebie taką samą nienawiścią, jak ty do owoców mego umysłu? Nie pomyślałeś o tym? Mogę zgasić latarkę i zamknąć cię w tym pokoju, żebyś sobie gadał do siebie.
- Nie zrobisz tego.
- Jesteś bardzo pewny siebie.
- Tak, bo czytam w twych myślach, nie pamiętasz?
- Nie zapominaj, że jestem panem swego losu. Nikt nie będzie za mnie decydował w sprawach, które dotyczą mej osoby. Ja tu dowodzę. I nic tu z twego gadania.
- Zobaczymy – rzekł spokojnie.
- Może najpierw pokażesz mi swoją twarz, zamiast stać do mnie odwróconym plecami. To niegrzeczne, nie uchodzi. No więc jak? Mam podejść bliżej i zaświecić ci w ślepia?
- To nic nie da.
- Nie rozumiem.
- Wiem, że mówisz prawdę.
- Nie będę z tobą rozmawiać, jeśli się nie odsłonisz – powiedziałem twardo.
- Wszystko w swoim czasie. Jesteś w gorącej wodzie kąpany. Chcesz kuć żelazo, póki gorące, choć nawet nie rozpaliłeś w piecu. Jak dziecko, jak dziecko…
- A zatem idę! – krzyknąłem nagle i gdy postąpiłem nieco w jego kierunku, on powstrzymał mnie gwałtownie:
- Stój! Jeszcze nie.
- Idę! – powtórzyłem i udałem, że ruszam.
- Nie podchodź, powiedziałem. Bądź cierpliwy – i tak mnie poznasz. To tylko kwestia czasu.
Chyba możesz trochę zaczekać, co? W zasadzie musisz…
- Ja nic nie muszę! – zawołałem, aż zakłuło mnie w uchu. – Ja mogę, a to wielka różnica!
On nawet nie poruszył się w trakcie całej tej rozmowy. Stał nieruchomo jak drewniany słup.
Czarna peleryna wyglądała z daleka dość osobliwie, jakby ktoś zawiesił ją bezładnie na stojącym na podłodze wieszaku i to właśnie przyprawiało mnie o narastający, nieokreślony lęk, który choć blisko ocierał się o ciekawość, jednak chwilowo powstrzymywał mnie od przyjrzenia się z bliska dziwnemu gościowi. Ten przedziwny brak poruszenia, bodaj drobnego ruchu ręki czy głowy, nie dawał mi spokoju…
- Kim jesteś? – zapytałem nagle raz jeszcze.
- Wkrótce się dowiesz. Ale zanim to nastąpi, pogawędźmy chwilkę.
- Nie życzę sobie znów wysłuchiwać twoich zjadliwych komentarzy. Trzymaj się od mojej pracy z daleka. To dla mnie świętość!
- Domyślam się i dlatego chcę z tobą zamienić słowo.
Cały czas stałem z latarką w dłoni w drzwiach i oświetlałem mroczny pokój, w którym stał zakapturzony wróg moich teorii, gość niechciany i wcale mi niepotrzebny, jednak realny jak jego głos, który płynął do mnie z przestrzeni…
Choć ciągle chodziło mi po głowie, by nagle zapalić żyrandol i podbiec do niego, ostatecznie odwlekałem to pociągnięcie na moment, który uznam za odpowiedni.

- A czy wiesz, skąd wzięły się te twoje „owoce" umysłu? – zapytał nagle.
- Powiedz mi. Przecież podobno czytasz we mnie, jak w otwartej księdze – odparłem.
- Mówi ci coś imię Jack O'Lantern?
- Chodzi co o dynię na Halloween?
- Chodzi mi o niego. O Jacka. I jego historię. Znasz ją chociaż?
- Nie.
- To posłuchaj. Może ci się potem przydać…
- Potem?
- Tak, kiedy już się bliżej poznamy. Otóż żył sobie kiedyś bardzo chciwy mężczyzna o imieniu Jack, który starał się zrobić za wszelką cenę pieniądze na czym się dało. Raz spotkał diabła, który zaproponował mu bogactwo w zamian za duszę. Tuż przed dniem Halloween pojawił się po to, co miał przyobiecane. Jack okazał się bardzo sprytny i przebiegły i uwięził go w sobie wiadomy sposób. Jednak na nic się to zdało – zmarł biedaczysko 31 października. Z powodu swej chorobliwej chciwości nie mógł iść do nieba, ale także i piekło zamknęło przed nim swe wrota, bo żartował z diabła. Od tamtej pory został zmuszony do chodzenia z latarnią po ziemi, aż do dnia sądu ostatecznego.
- Po co mi to opowiedziałeś? – zapytałem wtedy.
- Jeszcze się nie domyślasz?
- Nie. Ani trochę.
- To mam dla ciebie jeszcze jedną opowieść. Może to naprowadzi cię na właściwy trop.
Słyszałeś kiedy o Niflheimie?
- Może.
- Wiem, że tak. Nie wypieraj się. Pozwól, że odświeżę nieco twą pamięć. Otóż według mitologii skandynawskiej to „kraina mgły", lodu i zimna. Jest na północ od Ginnungagap. Włada nią bogini Hel. Jest to dość ponura otchłań, prawdziwe królestwo ciemności.
Czasem zwą ją też Gnip lub Gniphellir. Jest też drzewo Yggdrasill, którego jeden z licznych korzeni jest tak długi, że sięga aż do Niflheimu, podziemnej krainy umarłych.
Idą tam ci, którzy nie doznali zaszczytu polec na polu bitwy, wchodząc do niej Bramą Trupów. Przy korzeniu Yggdrasilla znajduje się studnia Hwergelmir, w której woda jest w stanie wiecznego wzburzenia i z niej to wypływają wszystkie rzeki świata.
Na dnie Niflheimu płynie upiorny strumień, a w jego nurcie brodzą pod prąd krzywoprzysięzcy i wilkołaki, wśród których grasuje straszliwy wilk i wąż, które bez przerwy pożerają ciała umarłych….
- Nie chcę tego dalej słuchać! – zawołałem w przypływie zgorszenia. – Znam te opowieści. Czytałem o nich kiedyś.
- Czytałeś? Czyżby? Tylko czytałeś, a może coś więcej?
- Nie!
- Więc pozwól, że dokończę. A więc pewnie wiesz, kto mieszka w pałacu Olund, prawda?
To królowa, o której wspominałem na samym początku, Hel, wiecznie ponura i zła, o twarzy zżartej trupim rozkładem. Czy już ci wraca pamięć, drogi Karmidorze?
- Powiedzmy… - padła z mych ust wymuszona odpowiedź.
Ów przedziwny, zagadkowy typ wiedział o mnie wszystko! O każdej mej myśli i o każdym moim ruchu, jaki kiedykolwiek wykonałem. Lecz skąd tak dokładna wiedza pochodziła?
- Czy muszę ci przypominać, co legło u podstaw twej teorii wielości rzeczywistości, którą ostatnio tak zajadle atakowałem? Naprawdę mam to powiedzieć za ciebie? Widzę jednak, że zacięty z ciebie osobnik. Zatem zrobię to ja! Dokończmy to, co zaczęte…
- Przejrzałeś mnie na wylot… - jęknąłem.
- Tak. Przeczytałem wszystkie twoje myśli. I teraz słuchaj do końca, bo nigdy już nie będzie kolejnej okazji…

- Nie, nie kończ…
- Gdyby nie tamte rytuały, ta cała magia chaosu, nic by się nie zmieniło. Nadal pracowałbyś na uniwersytecie i byłbyś wielkim, cenionym profesorem. A tak, kim się po drodze stałeś? Opętanym mrocznymi przesłaniami geniuszem? Twórcą czegoś, co nie istnieje, bo jest wymysłem innej, złośliwej diabolicznej jaźni? Szaleńcem, który posunął się o jeden krok za daleko? Żywym trupem, którego dusza nie jest już jego własnością? No powiedz, kim dziś jesteś, kiedy żyjesz od miesięcy w oszustwie, którym stało się twoje życie? Ta zabawa ma tylko jedno zakończenie…
- Nie zmienisz już niczego, bo ja tego nie chcę. Kim jestem? Karmidorem! K-A-R-M-I-D-O-R-E-M! Jestem z siebie dumny! I z mej pracy także! Mój umysł wydał święty plon! Za chwilę cały świat o mnie usłyszy, a potem muszą mi dać nagrodę Nobla, bo zasłużyłem, rozumiesz? Zasłużyłem! Pokaże im światy nieznane, światy cudowne!
- A tamtą noc, kiedy wezwałeś oszołomiony magią i jakimiś ziołami królową Hel pod ten dach, pamiętasz? Noc, w którą pokochałeś uroki Niflheimu? I jej prezent dla ciebie? Co jej wtedy obiecałeś?
- Głosić jej słowo, jej nauki po kres mych dni.
- Czyli?
- Objawiła mi wówczas to, co zawarłem w mej teorii. Namaściła mnie mądrością nieznaną ludziom.
- Nazwijmy to raczej układem…
- Tak, obiecała mi w zamian za to, że zacznę nawracać świat, nieśmiertelność – rzekłem głosem pełnym siły. – I wiem, że tak się musi stać. Inni przeminą, lecz ja nie! Będę żywy i silny, przestanę się starzeć, jako jedyny ujrzę koniec ziemskiego padołu, gdy nadejdzie!
- Widzę, że sam się okłamujesz. Pomijasz celowo pewien istotny, rzekłbym, najważniejszy „szczegół", albo wyparłeś go ze swej świadomości w przypływie lęku.
- O czym mówisz?
- O tej szczególnej formie „nieśmiertelności", jaką Hel przewidziała dla ciebie.
- Nie wiem, w czym rzecz.
- To nie jest dobra wiadomość…
- Nic mnie nie przerazi.
- Twoja nagroda jest bardzo osobliwa.
- Mów!
- A więc dobrze. Będziesz wieczny, ale w zamian za służenie swej podstępnej pani skazany zostałeś na bycie…wilkołakiem! Noc będzie twym królestwem, dzień przekleństwem.
Teraz już wiesz, dlaczego dałem ci przykład Jacka O'Lantern. Czeka cię podobny los…
- Łżesz! – wrzasnąłem i skoczyłem w głąb mrocznego pokoju.
- Stój! – rzekł spokojnie. – To jeszcze nie koniec. Jeśli zrobisz choć jeden krok naprzód, nie poznasz całej prawdy. Nadal będziesz żyć w świecie iluzji.
Cofnąłem się i patrzyłem zdumiony na czarną pelerynę, z której wydobywał się głos.
Dopiero wtedy wydał mi się dziwnie znajomy, jakby wyjątkowo często słyszany w przeszłości. Niemalże codziennie. Lecz kiedy i gdzie, trudno było mi wówczas zgadnąć…
- Słuchaj, bo nie powtórzę. Ten jeden, jedyny raz widzisz mnie tu, przed sobą. Nie będzie kolejnych. Musiałem cię odwiedzić, żebyś się w końcu ocknął.
- Znów zaczynasz? – zapytałem rozeźlony.
- Właśnie kończę. To nie potrwa już długo, więc słuchaj: pytałeś mnie poprzednio, kim jestem, pamiętasz?
- Tak.
- Teraz ci powiem. Chociaż, gdybyś nie był tak otumaniony tymi swymi szkodliwymi medytacjami, już dawno wpadłbyś na to sam. Ale cóż, nie byłeś w stanie… Otóż jestem tym wszystkim, co w tobie stare, dobre i nieskażone, nieskalane obłędem i wolne od obcego, diabolicznego wpływu. Jestem tą częścią twej

jaźni, która przetrwała pomimo ataku sił ciemności na twój umysł. Mówiłem ci wcześniej, że jestem Głosem. Chwilowo przybrałem taką właśnie postać w całej jej nikłej fizyczności. Tak jest w rzeczywistości – jestem głosem twej zgwałconej normalności…
- Ciebie nie ma, ciebie nie ma… - szeptały me zbielałe wargi.
- Jestem. Byłem, ale czy będę?
- Ty nie istniejesz…
- CZY MOŻNA ZOBACZYĆ WŁASNĄ TWARZ BEZ LUSTRA? JESZCZE NIKOMU SIĘ TO NIE UDAŁO I NIGDY NIE UDA. JAKBYŚ NIE PATRZYŁ, ZAWSZE BĘDZIESZ MIEĆ SIEBIE Z TYŁU, ZA SOBĄ…JAK TERAZ MNIE. MEJ TWARZY NIE UJRZYSZ, GDYŻ JEST TWOJĄ…ME IMIĘ PRZECZYTAJ OD KOŃCA… - wypowiedziawszy te słowa zakapturzona postać zaczęła się wolna obracać i wtedy nie wytrzymałem – błyskawicznie zapaliłem żyrandol.
Bluznęło światło, rozświecając pokój.
Spojrzałem i pchnięty trwogą cofnąłem się.
Tam, przede mną wisiała w powietrzu pusta, czarna peleryna, a w kapturze ujrzałem jeno ciemną pustkę…
Czemu zrobiłem to, co zrobiłem później, teraz już wiem – zatriumfowała wściekłość, nieprzeparta chęć usunięcia z mego świata owego niesamowitego przybysza.
Powoli wyciągnąłem z kieszeni scyzoryk i otworzywszy go, podbiegłem do wstrętnej mi odzieży i jąłem ją dźgać na oślep, jak szalony.
- A masz, a masz! – wołałem z pasją w głosie.
Wtedy trysnęła krew i ciszę rozpruł dziki krzyk – pochodził z mojej piersi…
Uczułem w różnych miejscach ciała gwałtowny ból.
Zbroczony krwią wybiegłem bez pamięci na ulicę…

* * *

Kto mnie znalazł, jak i gdzie – tego niestety nie pamiętam.
Zbyt silne wzburzenie zawęziło do maksimum pole mej świadomości, pokrywając wydarzenia późniejsze totalną niepamięcią…
Trzy miesiące potem, kiedy opuściłem już ostatecznie dom wariatów, po powrocie do domu natychmiast, bez wahania, odstawiłem leki – nie będą mnie już nimi dłużej truć!
Później wyrwałem z podłogi cztery deski, które wyrwałem wtedy, kiedy chowałem tam wiadro z jego głosem, zalane cementową zalewą, i jakież było me głębokie zdziwienie, jakież było me naturalne przerażenie, kiedy go tam…nie znalazłem!
Zniknęło!
Po prostu go tam nie było!
Było za to co innego, czego się wcale nie spodziewałem…
W rogu pokoju, zmięty i podziurawiony ostrzem mego noża, leżał jego płaszcz – czarna peleryna, gość niechciany…
Czym prędzej spaliłem ją na podwórzu, ciesząc się jak dziecko.
Już mnie nie odwiedzi, już nie będzie drwić sobie z mej pracy!
Zbyt wiele trudu włożyłem w jej genialną treść, by ktoś mógł bezkarnie mnie lekceważyć.
W najbliższym czasie zamierzam wydać ją drukiem, już znalazł się chętny wydawca, którego nie musiałem specjalnie namawiać – poznał się na mej wielkości.
Potem ruszę w świat z serią wykładów, gdyż planuję powrót na uczelnię w charakterze prekursora mej przełomowej, będącej naukowym fenomenem, teorii.
Chyba nie muszę wam tłumaczyć, że i do was dotrę.

Może nie jutro, może nie za miesiąc, ale kiedyś na pewno.
Wielość rzeczywistość to fakt!
Nigdy o tym nie zapominajcie!
Chciałem zdobyć wszystko, a zdobyłem o wiele więcej.

16 stycznia 2011

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 13.02.2012 09:30

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.